

Moja etnografia – spojrzenie z oddali

Tytuł „sposrzenie z oddali” jest oczywiście umyślnym zapożyczeniem z Claude’a Lévi-Staussa¹. Na starość wydał on bardzo ciekawą książkę, którą chciał nazwać, jak sam przyznał we wstępie, *Antropologia strukturalna IV*. Ale ponieważ ten tytuł już mu się znudził, więc wymyślił *Sposrzenie z oddali*. Miał przy tym na względzie jeszcze jedną rzecz. Mianowicie chciał pokazać, jakie z wątków etnograficznych, które przez całe swoje życie podejmował, wytrzymały próbę czasu. Ten kto czytał tę książkę wie, że o to w niej głównie chodziło. Lévi-Strauss zajmował się inną etnologią niż ja, ale to wszystko wynika z pewnych wyborów (zachowując wszelkie proporcje, w końcu mówimy o mistrzu świata antropologii i o mnie, więc proporcje trzeba zachowywać). Claude Lévi-Strauss pochodził z bardzo dobrej francuskiej rodziny rabinackiej. Miał świetne przygotowanie i wykształcenie już na początku swojej drogi. To na pewno mu pomogło w studiowaniu filozofii. Później był nauczycielem w liceum, co było drogą charakterystyczną dla francuskich uczonych. Bardzo wielu z nich pracowało we francuskich liceach. Moja droga była całkiem inna. Moja droga to był przypadek.

Trzeba zacząć od tego, że nie chciałem studiować etnografii. Zdawałem na studia socjologiczne, ale nie dostałem się na nie, bo były to czasy, gdy obowiązywała reguła – co trudno sobie dziś wyobrazić – że dostawało się punkty nie tylko za zdawane egzaminy, ale można było uzyskać dwanaście punktów za tak zwane pochodzenie społeczne i jego pochodne. Ponieważ ja nie miałem takich punktów, nie dostałem się na socjologię. Zostałem przyjęty, z odwołania rektorskiego, na etnografię, ale musiałem napisać oświadczenie, że po pierwszym roku nie ucieknę na socjologię.

Po roku studiów etnograficznych, a mieliśmy wtedy wspólne zajęcia z socjologami, powiedziałem, że na socjologię w żadnym wypadku nie pójde. Główną tego przyczyną była postać Andrzeja Waligórskiego, krakowskiego profesora, a wtedy docenta (zresztą bardzo długo docenta, bo mu pan profesor przeszkadzał w zostaniu profesorem). Mieliśmy z nim bardzo

dużo zajęć, prawie sześć godzin w tygodniu, trzy jednostki wykładowe, co przy czternastu godzinach zajęć w tygodniu w ogóle, stanowiło ponad jedną trzecią całości kursu.

Profesor Andrzej Waligórski był ortodoksyjnym zwolennikiem swojego mistrza Bronisława Malinowskiego i tę jego wiedzę w bardzo ciekawy sposób nam przekazywał. Mieliśmy z nim zajęcia od roku pierwszego do roku trzeciego. Profesor był, o czym trzeba wiedzieć, podwójnego wykształcenia – był etnologiem i anglistą (z pierwszego dyplomu). To kompletna prehistoria dla młodych czytelników – ale zawsze zaczyna się od archeologii. Jak piszą jakąś monografię etnograficzną to też, nie wiem dlaczego, najpierw wspominają o geologii i archeologii opisywanego obszaru. Nie wiem jaki wpływ mają jakieś ily gliniaste i ludy sprzed czterech tysięcy lat na współczesną kulturę regionu. Ale zawsze od tego się zaczyna.

Moja przygoda z etnografią – nazwijmy to przygodą – polegała przede wszystkim na tym, co mnie w etnografii zafascynowało od pierwszych kontaktów z tą nauką. Były to dwie rzeczy. Z jednej strony osobowość profesora Waligórskiego i profesora Mieczysława Gładysza, który był później moim preceptorem, promotorem doktoratu. Z drugiej strony to ogromna ilość wyjazdów terenowych. Dziś zorganizować wyjazd dla sześćdziesięciu osób, podzielić taki zespół na co najmniej trzy albo cztery grupy, znaleźć teren, jest bardzo trudno. A nas było niewiele. Na roku było dwanaścioro osób – dziesięć dziewczyn i dwóch chłopaków. Układy były więc zupełnie inne, kompletnie inaczej się studiowało. Z tego, kiedy się wybrało pro-seminarium na trzecim roku – ja wybrałem u profesora Waligórskiego – to nas były cztery osoby. Chodziłmy więc do niego do gabinetu, siadaliśmy w takiej głębokiej kanapie, jego asystentki robiły nam herbatę i w ten sposób odbywały się pro-seminaria i semina. Typ studiowania ewidentnie nawiązywał jeszcze do czegoś, co się później nazwało w pedagogice i „mądrej nauce” relacją mistrz-uczeń. Można powiedzieć, że rzeczywiście miałem okazję te relacje praktykować. To ogromnie dużo daje i zupełnie odmiennie nastawia do nauki, do tego, co się robi. Nie chcę tutaj opowiadać jako to dawniej dobrze było, bo muszę powiedzieć, że po prostu było inaczej. W dzisiejszym, zeuropeizowanym trybie studiowania o takie relacje dużo trudniej, inaczej się one rozkładają, większy nacisk jest położony na dydaktykę niż na uczestnictwo w rozmaitych badaniach terenowych, które kiedyś prowadzili sami mistrzowie, zlecając nam rozmaite prace. Przesunął się po prostu sposób studiowania, z bardziej indywidualnego na taki, w jakim poruszają się dzisiejsi studenci. Ale z drugiej strony trzeba natychmiast dodać, że dzięki temu, co stało się we współczesnym świecie, w Europie przynajmniej, studenci mają dużo większe możliwości uczestnictwa w kontaktach wewnątrzkra-

jowych, wyjazdach zagranicznych, udziale w międzynarodowych grantach. To wszystko studenci dzisiejsi mogą robić i robią w rozmaitych wymiarach. Różne sposoby studiowania zdecydowały więc, że inaczej się kształtowaliśmy. Ja kształtowałem się pod wpływem wspomnianych dwóch profesorów i ogromnej liczby wyjazdów terenowych.

W roku 1963 na wsi rzeszowskiej w miejscowości Gwoźnica – w której urodził się świetny modernistyczny poeta Julian Przyboś – byłem pierwszy raz w autentycznej kurnej chacie pochodzącej z końca XVIII wieku. Dziś trudno sobie wyobrazić jak wygląda kurna chata. Kiedy się do niej wchodzi i przyzwyczai się już wzrok, cała świeci się, błyszczy od sadzy, która jest na ścianach nałożona warstwami. Wrażenie jest nieprawdopodobne. Otwarty ogień na nalepie, dym się rozprasza po wnętrzu. Oczywiście była to ostatnia taka chata w Gwoźnicy. Poszedłem tam, bo komuś ze wsi powiedziałem czym się zajmuję, więc mnie tam zaprowadzili. Mieszkało tam dwóch, jak się wtedy mówiło, starych kawalerów. Dzisiaj wiemy również, że ta kategoria już nie funkcjonuje w życiu społecznym. Jest się po prostu singlem i już. I nikt nikomu nie robi z tego powodu kłopotu. A w czasach, w których studiowałem i prowadziłem badania staropanieństwo, starokawalerstwo było specyficznym rodzajem naznaczenia i niepełnego uczestnictwa w życiu zbiorowym. To zupełnie inne studiowanie.

Trzeba powiedzieć, że w moich studenckich czasach duży nacisk położony był na kulturę materialną. Jeszcze później z profesorem Reinfussem – świetnym znawcą sztuki ludowej – jeździłem na objazdy terenowe. W każdej wsi trzeba było w ciągu dwóch godzin zrobić wywiad na zadany temat. Potem wsiadało się w auto i jechało się do następnej wsi. I tak przez miesiąc wędrowało się po jakimś terenie. Praca, wbrew pozorom była nawet wyczerpująca, ale wyniki profesora Reinfussa były nadzwyczajne. To co on zadokumentował dla kultury polskiej, jeżeli chodzi o sztukę ludową, nikt tego przed nim nie zrobił. Całe jego przebogate archiwum, nie mówiąc o książkach, które wydał, znajduje się dzisiaj w Muzeum Etnograficznym w Krakowie. Stanowi wydzieloną jednostkę inwentarową, która pod specjalną opieką jest opracowywana i uzupełniana.

Mówię o tym dość chaotycznie, ale pytacie o moje prywatne doświadczenia. Takie więc jest moje prywatne doświadczenie. Na te moje wyjazdy nakładało się jeszcze – nie powinienem się chwalić – bogate życie towarzyskie. Na Śląsku jest takie bardzo mądre powiedzenie: „jak ktoś się chwoli to tak choćby się głównem mazol”. To inni o tobie powinni mówić, a nie ty sam. Ale jedno dodam. Byłem człowiekiem dość zabawowym, jako student i nie tylko jako student. Wśród tych wyjazdów terenowych znajdowałem więc jeszcze czas na dość intensywne życie towarzyskie. Od

1964 roku zaprzyjaźniłem się z większością artystów Piwnicy pod Baranami. Potem przez dwadzieścia lat byłem prezesem Towarzystwa Przyjaciół Piwnicy pod Baranami. Do tego dochodziły jeszcze Jaszczury, Teatr Stu, w którym też mieliśmy znajomych... Życie było, przyznaję, dość intensywne... Ale na wyjazdy terenowe zawsze się godziłem. To było coś niebywałego, jak one mnie wciągały. Być może z tego powodu, że kiedy byłem młodszy, mniej zgorzkniały i zgryźliwy, tak jak teraz, to miałem olbrzymi dar nawiązywania kontaktu z ludźmi. To jest niezwykle ważne dla etnografa.

Tak więc początki mojej etnografii (ale nie antropologii) były związane przede wszystkim z bardzo intensywnymi badaniami terenowymi. A ponieważ były to czasy kiedy za granicę dość trudno było wyjechać, więc właściwie rzecz biorąc poprzez badania terenowe zwiedziłem całą Polskę, w obecnych granicach. Później to się oczywiście rozszerzyło, pojawiły się kontakty i dość intensywne badania na Słowacji, w Czechach, w Jugosławii. Kierunek południowy był regułą naszej katedry za sprawą profesora Kazimierza Moszyńskiego. Zacząłem studia w 1962 roku, a Kazimierz Moszyński zmarł w 1959 roku więc w katedrze, w której studiowałem jego duch cały czas jeszcze siedział. Oprócz polskich etnografów, Profesor wykształcił cały legion etnografów słowiańskich. Oni go później odwiedzali i pomagali nam w organizowaniu bardzo licznych wyjazdów na badania terenowe do krajów słowiańskich. O ile niezwykle trudno było wyjechać za miedzę, czyli na Ukrainę, o tyle Słowacja, Węgry i Jugosławia były terenem, który bardzo dobrze poznałem od strony badań etnograficznych. Po latach zaowocowało to studiami poświęconymi galicyjskim wpływom w Europie, nie tylko w Galicji, ale na terenie całych dawnych Austro-Węgier.

A wzięło się to z takiego właśnie wyjazdu terenowego. W Jugosławii, dokładnie w Chorwacji w dolinie rzeki Kupa, w jednej z małych miejscowości, moi koledzy z przewodnikiem jugosłowiańskim poszli do piernikarza. A ponieważ to był maj, gorąco, usiadłem sobie na krawężniku. I z sąsiedniego domu wyszła bardzo już stara pani i mówi do mnie – po dwóch tygodniach wyrabia się taki slang, kreol rosyjsko-polsko-chorwacki, że się z każdym można bardzo dobrze porozumieć – „Co ty tu robisz?”. Ja powiedziałem, że czekam, bo oni tam poszli... A ona na to: „Choć tutaj do mnie”. Wzięła mnie do domu, dostałem kawę, oczywiście śliwovicę, czystą wodę i pani zaczęła wspominać. „Z Polski jesteś..., widzisz, tutaj przed wojną to przyjeżdżali do księdza z płótnem z Polski”. Wiedziałem już wtedy, że dokładnie rzecz biorąc jeżdżono z Orawy, gdzie było bardzo dużo warsztatów tkackich i skąd po całej Europie południowej rozwożono ich wyroby. I wtedy wpadłem na pomysł, który dopiero po latach mogłem zrealizować – że istnieje coś takiego jak wspólnota kulturowa Europy Środkowej na





bazie dawnych kontaktów Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Wpadłem na ten pomysł w latach siedemdziesiątych, ale dopiero w latach dziewięćdziesiątych go zrealizowałem. Jeżdżąc do naszych południowych sąsiadów, prowadziliśmy bardzo często wspólne badania nad recepcją Europy Środkowej.

Takie rozmaite przygody, bardzo liczne, które mnie spotykały, utwierdzały mnie w sensowności mojego pierwszego wyboru – by zostać jednak etnografem, a nie socjologiem. Równocześnie jednak przecież studiowałem i miałem bardzo żywe kontakty ze studentami i profesorami socjologii i filozofii. Chodziłem nielegalnie – koledzy moi z socjologii mówili: „chodź z nami, posłuchasz co robimy, on i tak się nie kapnie” – do Pawła Rybickiego, bardzo wybitnego socjologa miasta, który był kierownikiem katedry demografii i socjologii w Uniwersytecie Jagiellońskim. No i się ogromnie wciągnąłem, miałem nawet referaty. Pan Profesor się na to wszystko godził.

Moją niezwykłą przygodą intelektualną był też dwukrotny udział w nielegalnym seminarium w mieszkaniu profesora Ingardena. Mimo, że nie pozwolili mu prowadzić zajęć w uniwersytecie, studenci zorganizowali seminarium, które on prowadził w domu. Koledzy filozofowie, z którymi głównie piłem wino w probierni win „pod szóstką”, zaprosili mnie tam, bo przy winie prowadziliśmy namiętne dyskusje². Oczywiście jak każdy młody człowiek, zadawaliśmy sobie to samo pytanie, które ostatnio „Paprykarz” zadał naszemu panu premierowi: „No, jak żyć?” My też na to pytanie musieliśmy jakoś sobie odpowiadać przez całe życie. Dzięki temu właśnie udało mi się być na dwóch spotkaniach z profesorem Ingardenem.

Kraków tamtych czasów był rzeczywiście ciekawy. Wykład wydziałowy z logiki mieliśmy z docentem Leszczyńskim. Przychodził, siadał w płaszczu, taki dziwny, chudy i prowadził te swoje wykłady z logiki, która wcale nie jest przedmiotem łatwym, jak większość z nas wie. Ale to były bardzo intrygujące wykłady. A po latach dowiedziałem się, że to był jeden z najlepszych przyjaciół Witkacego. Miał więc niezwykle ciekawą i bujną młodość, choć na starość zupełnie się zmienił.

Miałem kilku wybitnych, bardzo ciekawych wykładowców. Opowiem jeszcze jedną anegdotę. Kiedy już kończyłem studia i byłem na stażu asystenckim wydano po polsku *Antropologię strukturalną*. Wtedy natychmiast tę książkę kupiłem, przeczytałem, pobiegłem do profesora Waligórskiego i mówię mu, że w modzie jest kompletnie co innego. A on wtedy powiedział do mnie: „Wie pan co, jest takie ładne przysłowie angielskie, że prawdziwy gentleman nosi się o sezon później”. A więc, nie należy ulegać szybkim namowom.

Moje doświadczenie terenowe wyszło przy magisterium i później przy mojej pracy doktorskiej. Właśnie wtedy prowadziłem bardzo intensywne badania na południu Polski, we wsi na Spiszu, która nazywała się Jurgów. Zamieszkała była ona w części przez Słowaków, w części przez Polaków. A proszę pamiętać, że to były wczesne lata siedemdziesiąte. Państwem polskim dysponował towarzysz Gierek, który nieustannie opowiadał nam o jedności moralno-politycznej narodu polskiego i Polaków. A tutaj jakieś inne nacje. Było to bardzo niewygodne. Przez trzy czy cztery lata jeździłem więc na całe wakacje do Jurgowa i zgodnie z zaleceniami Malinowskiego – a nawet trochę bardziej, bo on się nie podejmował miejscowych prac – mieszkalem u takiego bardzo sympatycznego, starego górala, który nazywał się Chowaniec, a mówiło się do niego „Fajka”. Tam każdy miał przydomek, bo inaczej by się nie trafiło do domu, zresztą tak jak we wszystkich stanach, w zaściankach szlacheckich, na wsiach chłopskich, wszędzie te przydomki funkcjonowały. Chowaniec-Fajka miał dwoje dzieci: Hankę i Alojza, który był sołtysem wsi. Mieszkalem też u Hanki i z jej mężem prowadziłem gospodarstwo. Umówiliśmy się, że ja będę jego parobkiem, bo jestem z miasta, więc nic nie umiem. Ale co każe, to zrobię. Byłem młody, mocny, to czemu nie. Więc budowałem z nim dom, rozwoziłem gnój na pola, a gnój to się inaczej rozwoziło niż teraz – nie było maszyn. Trzeba było ubrać takie specjalne buty gumowe – jak to na Podhalu mówią – bacioki, wziąć widły do ręki, stanąć na furze pełnej gnoju i widłami to rozrzucać. Tłukliśmy kamienie na drogę, bo odrabialiśmy tak zwany szarwark – jak to się tam nazywa – czyli taką gminną pracę na rzecz społeczności. Za kilka lat asfalt położyli, ale trzeba było najpierw to utwardzić. Wiele takich prac wykonywałem. No, a po pracy, jak żeśmy się tam jakoś przemylili, chodziliśmy – to jest ważne, że Halinka była barmanką w miejscowym barze – do baru „Murań”. Tam już część gospodarzy siedziała, ja siadałem z nimi, jako zaprzyjaźniony już parobek, no i... „bania”, równo, po ich niemu. Kiedyś pytali się mnie, czym się zajmuję, co robię, po co ja to piszę. Ja im opowiadałem tak jak mogłem, żeby zrozumieli o co mi chodzi – zresztą bardzo rozumieli. I pewnego razu Alojz Chowaniec, jak się napił, to ścisnął dłoń w ręce i mówi tak: „Cesiek ino pis prowde!”. To było takie podstawowe zalecenie.

Opowieści jakich się w Jurgowie nasłuchiwałem były nieprawdopodobne. Przyszedł kiedyś do baru Józek Ciągwa zwany Koterba, który najlepsze kawałki folklorystyczne znał. I opowiadał mi je po prostu. Mówił: „Suchojcie ponie, suchojcie ponie” i zaczynał takie opowieści, że wszystko się składało, jak u Propa w *Morfologii bajki*. Znakomite historie opowiadał, pikantne, dowcipne, z nieprawdopodobnymi puentami.

Ponieważ ja pisałem doktorat o tradycji i obyczaju w środowisku wiejskim, czyli o moralności i obyczaju, to ankiety nie za wiele mogły mi pomóc. To co najwyżej mogłem zrobić to prosić przez studentów – dzięki znajomościom, które miałem we wsi – żeby jakieś tam deklaracje w ankietach mieszkańcy złożyli. Natomiast jak się chce pisać o obyczaju, to trzeba robić dwie rzeczy. Po pierwsze trzeba było się zaprzyjaźnić z ludźmi, a po drugie umieć ich słuchać. I to wydaje mi się, że się udało, chociaż postępowałem niezgodnie z nowoczesnym przesłaniem etnograficznym o tak zwanym dialogowym charakterze wywiadu etnograficznego. Bo jak któryś mówił jakąś kwestię, która była wcale nie po mojej myśli i pytał się: „Jest tak?”, to ja mówiłem: „Jest”. Mimo, że zdanie miałem całkiem inne. Uważałem, że rodzaj dystansu, wręcz ironicznego, jest konieczny w takich sprawach. Tak zwane dialogi to raczej niech robią etnografowie, którzy mają kłopoty z własną osobowością. Ja nigdy ich nie miałem, więc mnie wystarczyło to, że chciałem zdobyć pewnego rodzaju materiał. A zresztą – to już mówię zupełnie poważnie – dobrze wiadomo, że mimo wszystkich postulatów dialogu, każda rozmowa jaką prowadzimy jest rozmową niezupełnie szczerą. Nigdy się przed każdym, a szczególnie przed jakimś człowiekiem przy okazji wywiadu, nie otwieramy ze wszystkimi swoimi problemami. Życie jest teatrem i nieustanną grą, w którym gra się rozmaite role. Odpowiada się konwencjami, utrwalonymi sposobami odpowiedzi. Po latach stwierdziłem, że moje pierwsze przekonania były trafne i dalej się tego trzymam. Na pewno nie jestem etnografem należącym do nurtu antropologii dialogicznej spod znaku Lévinasa i innych – to nie ja. Ja pracuję zupełnie inaczej.

To co do tej pory opowiadałem dotyczyło jednego nurtu mojej praktyki. Trzeba pamiętać, że to było niezwykle ciekawe i bardzo dużo mi dało w takim poznaniu, dotknięciu świata. Ale jest jeszcze jeden niezwykle ważny nurt – refleksja nad tym wszystkim. A refleksja nad tym wszystkim to są już studia nad – krótko mówiąc – literaturą. Kwestia polegała na tym, że tematy, które podejmowałem, obyczajowe, moralne, światopoglądowe, etosowe – bo w kategoriach etosu próbowałem to badać – zmuszały mnie do rozszerzenia swojego poglądu nie na klasyczną literaturę etnograficzną, ale właśnie na pobocza, na aksjologię, filozofię, socjologię, na interakcjonizm symboliczny i inne rozmaite trendy interpretacyjne z pogranicza. Musiałem sobie to przyswoić i to była znowu wielka przygoda intelektualna. Dodam, że moim ulubionym autorem, nie etnograficznym, a filozoficznym jest Leszek Kołakowski. Uważam się wręcz za jego duchowego ucznia. Nigdy w życiu go nie widziałem, ale wszystkie jego teksty rzeczywiście przeczytałem. Przez jego teksty uczyłem się dystansu, spojrzenia na świat,

w którym każdy ma prawo do własnego poglądu i co trzeba umieć uszanować.

Równocześnie na moich oczach stała się jeszcze jedna ważna rzecz. Jeżdżąc z Reinfussem, zafascynowały mnie osobowości ludowych twórców. To stało się kolejną moją pasją i z moimi przyjaciółmi z psychologii, z panią, która już nie żyje, a która się zajmowała psychologią twórczości, prowadziłem ożywione dyskusje na tematy twórczości. Z jednej strony przez teren uczyłem się erudycji etnograficznej, z drugiej pochłaniała mnie pasja lektur: filozofia, etnografia, antropologia, literatura piękna. Wygląda na to, że nie wiadomo kim jestem, ale rzeczywiście to mnie pasjonowało i to mi się wielokrotnie przydawało w wielu moich życiowych sytuacjach, w trakcie prowadzenia działalności naukowej. Dzięki technice pisarskiej Jamesa Joyce’a mogłem pomyśleć o kulturze jako o strumieniu świadomości. Mogłem mówić, że jeśli oglądamy kulturę i w niej uczestniczymy to właśnie w taki sposób jak jest napisane w *Ulisiesie*. Podejmujemy więc wątek, często go nie kończymy, przeskakujemy na inny, bo co innego nas zainteresuje i znajdujemy się nagle w innej sytuacji, musimy podjąć pewną decyzję, po pewnym czasie wracamy do tej pierwszej, rozwijamy pierwszy wątek w inną stronę itd. Tak jest napisany *Ulysses*. Wspaniała książka.

Drugim moim ulubionym pisarzem – z zupełnie innego końca – był Tomasz Mann. Z jednej strony jego wielkie powieści *Buddenbrookowie*, *Józef i jego bracia*, *Doktor Faustus*, a z drugiej moja ulubiona powieść – *Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla* – gdzie bohater co chwila jest w innym wcieleniu, za każdym razem jest kimś innym i za każdym razem buduje swoją osobowość na ironicznym dystansie, ze wszystkimi znakomicie się dogadując. Trochę taka kameleonowa postać bliska właśnie antropologowi. Bo antropolog, jak jedzie w teren, to taki musi być.

To były lektury, które mnie niezwykle wciągały. Na początku pojedyncze, ale potem, czym stawałem się starszy, tych lektur przybywało z rozmaitych końców. Z innych moich ulubionych pisarzy wymienić trzeba Hermana Hesse, oraz wielkiego pisarza Güntera Grassa z jego gdańskimi powieściami. Tyle napisał on w *Psich latach* o młynarzach, że kazałem przeczytać to Jasiowi Świąchowi, autorowi świetnej pracy o młynach i ich antropomorfizowaniu. Młynarz z Güntera Grassa, który przy ujściu Wisły, na Oksywskiej Redzie miał młyn, opowiadał pięknie o młynie, który stęka, oddycha, choruje... Miał też taki zwyczaj, że brał worek z mąką, przykładął do ucha i wołki mączne mu przepowiadały przyszłość, a on wieszczył na tej podstawie. Oczywiście cudowna wizja literacka, ale rewelacyjna. Ten wielonurtowy sposób pisania tekstów bardzo mi odpowiadał. Stąd moje prace nie są czystymi opisami etnograficznymi. Jest w nich bardzo wiele wycieczek w rozmaite inne obszary.

A na to wszystko muszę powiedzieć jeszcze jedno. Mam dla niektórych koszmarną wiadomość – zresztą powtórzę ją za Wiesławem Myśliwskim i Rochem Sulimą – kultura ludowa umarła i kultury ludowej nie ma. To co jest, to swoisty synkretyzm, który jest wymieszaniem najrozmaitszych wątków z kultury miejskiej, tradycji chłopskich, kultury dworskiej i z rozmaitych innych. Na przykład wszystkie nasze potrawy regionalne, które tak ogromnie uwielbiamy, gdy im się dobrze przyjrzyć, okazuje się, że w żadnym regionie ich nie jedzono. Był taki moment, niemało brakowało, a z Bobkiem Makłowiczem napisałbym na ten temat książkę kucharską. Z tego powodu przeryłem całego Kolberga pod kątem tego, co w odpowiednich tomach on pisze o jedzeniu. Kuchnia chłopska nie знаła wiórów kokosowych, które na konkursach ciast ludowych serwują, na przykład, panie w Limanowej, mówiąc że to ludowe potrawy. Rzecz w tym, że wszystko się dziś wymieszało i teraz tak jest, choć nie jest to jednak kultura ludowa.

Wiesław Myśliwski napisał bardzo ładny esej pod tytułem *Kres kultury chłopskiej*. Był on diagnozą stanu współczesnej kultury ludowej, która według autora nie jest właściwie kulturą chłopską. Myśliwski buduje tam bardzo piękną wizję, troszkę zmytizowaną, mówiąc, że w przeszłości kultura ludowa mogła mieć swój etos, że była czymś wielkim, choć ostatecznie nikt nie napisał o niej eposu. Próby takie robił Myśliwski. Ten kto czytał *Nagi sad*, *Kamień na kamieniu*, *Pałac* wie dobrze, że cały czas męczył się z tym niezwykle tematem. Zresztą nie tylko on jeden. Można tutaj wymienić innego znakomitego pisarza, Tadeusza Nowaka. Poprzez literaturę, od mądrych ludzi można było się znakomicie nauczyć bardzo wielu rzeczy. Wiesław Myśliwski, Marian Pilot, Jan Drzeżdżon i inni byli wybitnie utalentowanymi dziećmi chłopskimi. I właściwie rzecz biorąc cała ich twórczość była nieustannym przeżywaniem ich życia. Bo jak niektórzy teoretycy literatury mówią, literat nic innego nie robi tylko opowiada swoje życie, cały czas je przekształcając i przerabiając. Zatem wątki, które podnosił na przykład Tadeusz Nowak albo Wiesław Myśliwski w niezwyklej książce *Widnokrąg* fantastycznie wzbogacają wiedzę o kulturze ludowej o wymiar świadomościowo-światopoglądowy. Nie da się go w żaden sposób wydobyć bezpośrednio od ludzi, bo oni nie umieją tego zwerbalizować. Ta wielka sztuka możliwa jest tylko dzięki fantastycznej wyobraźni pisarzy. Czytanie literatury w tym przypadku przynosi więc znakomite, fantastyczne efekty. Dlatego radziłbym młodym ludziom, aby nie korzystali z e-booków albo z audiobooków, tylko wzięli po prostu książki do ręki i czytali. Ja wiem, że dzisiaj to jest bardzo trudne, ale jest to niezwykle... przyjemność, poza wszystkim.

Literatura wzmacniała moją wizję kultury, a przez to uczyła mnie pewnego rodzaju intuicji. Z niej wy-

nikło to, że zajmuję się w tej chwili problemami dystansu społecznego w Polsce. Napisałem o tym chyba ze trzy poważne teksty, na przykładzie Śląska. Jestem dzieckiem emigrantów ze Lwowa, więc los zdarzył, że uciekając coraz bardziej na zachód przed armią wyzwolicielką – jeszcze w czasie wojny, bo urodziłem się w 1944 roku – moi rodzice zatrzymali się w Gliwicach. Po latach okazało się, że z miastem tym związany był świetny pisarz niemiecki. Nazywał się Horst Bienek i stał się on jedną z moich ostatnich pasji.

Napisał cztery tomy znakomitych powieści, których akcja toczy się w Gliwicach, w mieście w którym się urodził i przebywał do piętnastego roku życia, czyli do 1945 roku. Wyjechał na Zachód jednym z ostatnich możliwych transportów. Trafił do Berlina, gdzie był amatorem-asystentem u Bertolta Brechta. Z tego co wróble ćwierkają na dachu wynika, że Brecht go zadenuncjował i Horst Bienek wyładował na pięć lat w sowieckim łagrze. Powstała z tego piękna powieść pod tytułem *Cela*. Gdy po 1955 roku wypuścili go z łagru wrócił do Niemiec i zaczął pisać cykl wspomnieniowy, tetralogię gliwicką. Całość jest bardzo dobrze wydana, równoległe po polsku i po niemiecku. Cztery tomy: *Pierwsza Polka*, *Światło września*, *Czas bez dzwonów*, *Ziemia i ogień* to historia śląskich rodzin mieszkających w Gliwicach, w tym również rodziny autora. (Dom Bienka jest do dziś zachowany, ma tablicę, on sam przyjechał zresztą jeszcze do Gliwic przed śmiercią w latach osiemdziesiątych). Przedstawiony w tych książkach obraz świata przed wojną i w trakcie wojny jest czymś znakomitą. Znakomitą dlatego, że mamy w nich ukazane codzienne życie od drugiej strony – nie od tej, którą nas karmią: tu obóz koncentracyjny, tu łapanka itd. Tutaj pokazane jest ono od strony ludzi, którzy żyją sobie dobrze w państwie na razie wygrywającym wojnę. Możemy więc widzieć, jak się żyło młodym człowiekowi, który dochodził do dorosłości w państwie hitlerowskim wygrywającym wojnę. To co mnie jednak najbardziej zafascynowało to, że moje losy są takim dziwnym dopełnieniem losów Bienka. Bo on z tych Gliwic wyjechał, a ja z moimi rodzicami tam przyjechałem – na ten nie swój dom, nie swoje meble i kompletnie nie swoje rzeczy. Długo by opowiadać jak to rozwijam, ale napisałem już trzy duże teksty o tym, jak Horst Bienek pisał tetralogię. Jest tekst w *Kontekstach* pod tytułem *Dom z gazet*. Drugi pod tytułem *Podróż Horsta Bienka na Śląsk* dotyczy czasu kiedy po latach wrócił on do Gliwic. I trzeci tekst to wydany w Gliwicach – muszę go gdzieś indziej jeszcze raz szerzej opracować i umieścić – pt. *Kościół Piotra i Pawła w Gliwicach*.

Kościół Piotra i Pawła jest kościołem, do którego jako dziecko, jak każde dziecko, chodziłem. Po czym ten Kościół rzuciłem. Jestem człowiekiem niewierzącym, nie przyjąłem nawet pierwszej komunii świętej. Tym się szczyć. Oczywiście wtedy zrobiłem to nie-

świadomie, z leku, strachu, z rozmaitych fobii, które towarzyszą dzieciom, gdy mają przystąpić do pierwszej komunii, o czym też trzeba wiedzieć.

Jest taki duży rozdział u Horsta Bienka o tym, jak ściągać dzwon z kościoła Piotra i Pawła, tego do którego i ja chodziłem. Zrobiło się wielkie zbiegowisko, niezwykle intrygujące rzeczy. I tu się zaczyna antropologia – zaczyna się patrzeć na świat, z jednej strony przez moje doświadczenia, a z drugiej strony uogólnianie tego doświadczenia przez moją wiedzę. Przy czym zdaję sobie dobrze sprawę z tego, że i Horst Bienek buduje fikcję i ja buduję fikcję. Po pierwsze ja nie jestem mądrzejszy od niego, a po drugie – jak to mądrze powiadał Heidegger – ten kto myśli, że w wieku lat osiemnastu wiedział to, co wie kiedyś ma lat siedemdziesiąt, grubo się myli. Patrzymy na to z drugiego końca – kiedy budujemy, rekonstruujemy świat. Dokonujemy wtedy bardzo ważnego odkrycia. Stwierdzamy, że kultura i historia, kiedy się dzieje to się opowiada, a kiedy my o niej zaczynamy pisać to jej już nie ma, wszystko to jest już mitem, wszystko jest narracją, opowieścią, w której szukanie prawdy troszeczkę nie ma sensu. Albo trzeba by przyjąć tą postmodernistyczną wizję prawdy, że każdy ma prawo do swoistej prawdy, że nie jest to prawda rozumiana obiektywistycznie i historycznie, ale że są to nakładające się, nieustanne nasze opowieści. Jesteśmy więc w sytuacji pewnego górala. Żeby sprawę przybliżyć przytoczę tu może jedną anegdotkę, opowieść góralską, która ma przesłanie etnograficzne. Na Podhalu jest przednówek, bieda jak skurczybyk, rodzina nie ma kompletnie co jeść. Gazda postanowił więc, że zabiją Burka i go zjedzą. Pozamykali wszystkie okna w chacie – bo kto psy je, tylko Cyganie. Gazda nawet jak nie ma co, to nie może jeść Burka. No, ale głód ich tak przypiekl, że wreszcie tego Burka rzeczywiście zatłukli, ugotowali, zjedli. No i jak już wszystkim w brzuchach ciepło się zrobiło, siedzą, gazda patrzy na miskę pozostałych kości i mówi tak: „Hej, kiej by Burka buł to by se te kosteczki zjod”. To jest właśnie nasza sytuacja badacza kultury. My w tej kulturze przez cały czas uczestniczymy równocześnie jedząc i wtedy kiedy zaczynamy się nad tym zastanawiać to właściwie tej kultury już nie ma, ona już istnieje w innej postaci. Kiedy to sobie uświadomimy przestaniemy dochodzić takiej bardzo ważnej rzeczy, której w etnografii dawniej dochodzono – tak zwanej prawdy etnograficznej. Prawda etnograficzna jest wymysłem badaczy, a nie tych, którzy w tej kulturze uczestniczyli. Tak to właśnie jest: jak nie zjemy, to jesteśmy bardzo głodni i chcemy poznać świat. Ale jak już się do tego weźmiemy, to to, co z tej kultury zostaje jest tą „kupo kosteczek”. Zupełnie inny świat, przepracowany, przerobiony. Nie ma wszystkiego tego, co było najważniejsze i najżywsze w kulturze. Nie ma drobniaków, szczegółów, pewnych niedopowiedzeń, których

my ludzie obserwujący jakąś kulturę z zewnątrz, nigdy nie zrozumiemy. Jednak starać się trzeba i to jak najbardziej, w zgodzie ze starym rosyjskim przysłowiem, które mówi o kobietach: „Всех ние преёбёш но нада стремить”.

DOPOWIEDZENIA

O doświadczeniu artystycznym jako formie kulturowego uogólnienia

W przypadku Horsta Bienka czy Tomasza Manna przekroczenie progu między doświadczeniem indywidualnym, a uogólnieniem kulturowym bierze się stąd, że ci pisarze prowadzili bardzo szczegółowe badania, całe rozległe studia dotyczące epoki, w której żyli i o której pisali. Jest taka wspaniała książka Tomasza Manna *Jak powstawał Doktor Faustus*, w której autor powiada jak pisał, jakie studia prowadził podczas pracy nad swym dziełem. Jest książka Horsta Bienka – *Opis pewnej prowincji* – na podstawie której napisałem tekst pod tytułem *Dom z gazet* – opowieść o tym jak gromadził on wokół siebie źródła, jak zdobywał gazety z minionego czasu i jak sobie cały pokój wylepił tymi gazetami i cytatami z rozmaitych ówczesnych dokumentów, żeby książka nabrała charakteru prawdziwego (stąd *Dom z gazet*). Do tego dochodziły jego studia nad źródłami. Jeden z bohaterów Bienka, stary adwokat, jest zafascynowany polskością, zwłaszcza postacią Korfantego. W archiwum niemieckim zachowały się wszystkie niemieckie przemowy Korfantego, które jako poseł wygłaszał w Reichstagu. Bienek miał więc dostęp do lepszych zdań, lepszych dokumentów i dlatego był w lepszej sytuacji niż my. To jest właśnie szansa na przekroczenie progu, o którym mówimy. Poza tym w każdej powieści dokonuje się pewnego typu intersubiektywne uogólnienie. Talent indywidualny pisarza sprawia, że potrafi on znakomicie uogólniać i nadawać opisowi pewien kształt przekraczający doznanie indywidualne. Pisarz nie odtwarza postaci tylko komponuje nowe, ale bohaterowie bardzo wielu powieści są zlepiani z kawałków prawdziwych osób. Opowiadam o rudymencie, ale chcę wskazać na możliwy sposób przeskoczenia zajmującego nas progu. Problem jest jednak absolutnie zasadniczy. Istnieje ewidentna różnica między przygodą indywidualną i relacją indywidualną, a intersubiektywnością kultury. Tu ujawnia się ślepy zaułek tak zwanej historii mówionej, która notuje poszczególne wypowiedzi, ale co dalej z nimi zrobić nie wie. Ci którzy zajmują się historią mówioną są najczęściej historykami albo socjologami i nie mają bardzo przydatnego przygotowania folklorystycznego. A każdy z nas, czy chce czy nie chce, mówi strukturami, gatunkami. Genologia już się rozproszyła – pisze Nycz w swojej pracy o poststrukturalizmie – co dzisiaj po nauce o gatunkach, skoro one wszystkie się rozpa-

dają? Ale w ich miejsce powstają nowe. My ciągle mówimy strukturami i gatunkami. Tak to jest.

O spójności lub braku spójności w polskiej kulturze ludowej

Ta kwestia jest bardzo ważna. Z jednej strony kulturę ludową przedstawia się w zmytyzowanej formie, nadając jej kształt, w którym, na przykład, nie ma jej ciemnych stron. Pisz więc ktoś o kulturze ludowej jako takiej pięknej całości – a potem w szczegółach mówi o sposobach rozpoznawania złodziei... To po cholere były te sposoby skoro nikt na wsi nie kradnie, wszyscy są równi i szczęśliwi? Gdy czyta się takie prace z podtekstem okazuje się, że kultura ludowa nie była taka spójna, tak bardzo jednorodna. Zwracał już na to uwagę w połowie XIX wieku Ryszard Berwiński w świetnej książce *Studia o guslach, czarach, zabobonach i przesądach ludowych* (1862). Stawiał on tezę, że kultura ludowa nie jest autonomiczna i samorodna, choć teza ta była inaczej wypowiedziana, bo w XIX wieku nie mógł tego w taki sposób sformułować. Ale powiedział, że kultury, szczególnie takie jak w Europie, są wynikiem nieustannych dyfuzji, bo tutaj wszyscy nieustannie chodzili, przepływali, jeździli i nie było szans, by zachowały się tu jakieś – można by powiedzieć – czyste typy kulturowe. Wszystkie kultury są mieszaniną, ale ich siłą jest to, że potrafią one adaptować, przystosowywać rozmaite wpływy, które się pojawiają w różnych miejscach – potrafią je czynić czymś swoim. Nie ulega wątpliwości, że dla terenów wschodnich Europy atrakcyjnym typem kultury była kultura polska. Ale równocześnie Polacy brali stamtąd niezwykle wiele i adaptowali albo uznawali za swoje. Czesław Hernas pisze *W kalinowym lesie*, że pierwszy zbiór pieśni ludowych zanotowanych jako polskie to w istocie zbiór dumeł ukraińskich zebranych gdzieś na wschodzie. Maria Janion znakomicie opowiada o grupie polskich pomniejszych poetów zafascynowanych tradycjami ukraińskimi, którzy tę całą wielką poezję przystosowywali do warunków polskich. Z innej strony, tak zwany narodowy styl polski, który wytworzył się dopiero w drugiej połowie XIX wieku, a swoją specyficzną odmianę ma w tej chwili w Polsce – zwróćmy uwagę na budownictwo dworskie, na jedzenie, na pewne elementy tak zwanego stroju narodowego – styl ów zgarnął do siebie wszystkie wzorce, ziemiańskie, chłopskie, inteligenckie i idealnie je wymieszał. W ten sposób powstała, na przykład, nowa tak zwana kuchnia narodowa. Faktycznie większość przepisów tej kuchni jest u pani Ćwierczakiewiczowej, a nie w przepisach ludowych. Nie wiem kiedy to „górol” jadł kotlety schabowe. A dzisiaj w każdej knajpie w Zakopanem można kupić „kotlet schabowy po góralsku”. Trzeba też pamiętać, że w Polsce stała się bardzo ważna rzecz. Dawniej powiadało się, że warstwa szlachecka czy ziemiańska

stanowi ledwie dwanaście procent ludności, a reszta to jest chłopstwo. Odnosząc się do tego, któryś z autorów bardzo mądrze powiedział: „co tu teraz zrobić – zrobmy wszystkich szlachcicami!”. I to się w swoisty sposób stało. W XIX wieku ta wybuchająca kultura ludowa, w niedługim co prawda czasie i przynajmniej jej część, rzeczywiście miała szansę na rozkwit i ona się znakomicie rozwinęła. Ale po wojnie wszystko się wymieszało, wchłonęło i powstał model postziemiański, który jest dziś naszym podstawowym wzorcem kulturowym. To jest styl, który wszystkim najbardziej się podoba. Pochodzenie jest tu obojętne, nieważne, bo w tej chwili jest demokracja i wszyscy jesteśmy równi. Ale podstawowy wzór przeżywania świata jest właśnie postziemiański. Tak to się miesza.

O współczesnej wartości funkcjonalizmu i strukturalizmu

Dziś funkcjonalizm pozostał wyłącznie nie tyle jako metoda, ale jako dyspozycja do pewnego sposobu obserwowania świata. Tak to sobie Anglicy, Malinowski oraz inni wymyślili. W dziennikach Malinowskiego można zobaczyć, jaka to jest świetna metoda. Z jednej strony doskonale opisy, a z drugiej strony nieustanny żal, nerwy, przeświadczenie, że tych wszystkich Nigrów byłoby najlepiej powywieszać. Łącznie z jego fascynacjami miejscowymi kobietami staje się to nieprawdopodobnie wymieszaną sprawą.

Co do strukturalizmu to pozostał on częściowo aktualny jako metoda. Nie ostał się jako filozofia. Natomiast ostał się jako pewien sposób porządkowania materiału, pewien etap do prób znajdowania zależności między zjawiskami. Zresztą, przed strukturalizmem zrobił to formalizm rosyjski. Włodzimierz Propp znalazł wcześniej wszystkie porządki znane strukturalizmowi. W tej części jest on aktualny. Natomiast przeświadczenie, że kultura ma charakter celowy, że jest funkcjonalna – to wszystko upadło. Dobrze wiemy, że kultura jest dysfunkcjonalna, że często nie ma celów, że ci, którzy ją „uprawiają” nie wiedzą o jej celach. Bardzo ładnie dostrzegł to Geertz, kiedy mówiąc o wiedzy lokalnej pokazał, że może istnieć wyraźny rozróżnienie między wiedzą uczonych, wiedzą wysoką, a zdrowym rozsądkiem, który wystarcza do poruszania się w świecie.

O tradycji jako terminie wyjaśniającym współczesnej etnografii

Zacząć trzeba od starego rozróżnienia, które gdzieś tam w latach siedemdziesiątych uczynił Jerzy Szacki w pracy o tradycji. Mówi się tam o tak zwanej tradycji przedmiotowej i podmiotowej. Chodzi o jedno, że tradycję się buduje, że ona sama dla siebie nie istnieje. Tradycję buduje postawa wobec przeszłości, to co my chcemy uznać za tradycję. Jest więc ona w swoisty sposób wykładnikiem naszej postawy wobec współ-

czesnego świata. Dlatego jedni tradycję będą widzieli w takich wymiarach, a inni w innych.

My Polacy mamy pewne skłonności do mówienia o tradycji narodowej – przy czym tradycję narodową polską tworzy wyłącznie kultura wysoka i to w swoim specyficznym wymiarze. Najlepiej jeżeli jest ona martyrologiczna – to jest najlepsza tradycja, najsilniejsza i największa i ona rzeczywiście w specyficzny sposób, przez długie wieki, do niedawna kształtowała nasze myślenie. Dzisiaj często się mówi, że ten model romantyczny – bo to jest wzorzec romantyczny przeżywania świata – rzeczywistości odszedł. Ale okazuje się, że nie odszedł, że w warunkach polskich co pewien czas wraca. Mówiło się kiedyś, że ostatnim takim romantycznym wzorcem przeżywania rzeczywistości była Solidarność, ta pierwsza z osiemdziesiątego roku. Pisałem na ten temat tekst o strajkach, w którym poddawałem specyficznej analizie ten model wzorca romantycznego. Teraz okazuje się, że on znowu odżył – dla części społeczeństwa nadal jest bardzo ważny. I nie można mieć o to pretensji. Ale ważne jest, że zmienił się sposób rozumienia tradycji – we współczesnym świecie w specyficzny sposób połączyły się normy obyczajowe wymagające kontynuowania tradycji albo opierania się na niej, jako na źródle wszelkiej prawdy. To zostało może nie tyle zanegowane, ale na pewno podważone. Czy się przed tym obronimy, nie wiem. Bo z jednej strony tę tradycję się podważa, z drugiej strony niektórzy powiadają, że nic innego w zamian nie ma, gdyż wszystkie inne sposoby identyfikacji są bardzo powierzchowne. Stąd pytanie, czy w ogóle warto identyfikować się w kategoriach tradycji. Z jednej strony mówi się o tak zwanych osobowościach, które oparte są na tradycji zadanej, ugruntowanej, a z drugiej mówi się o tradycji konstruowanej. W dzisiejszym świecie wzorców osobowych i możliwości wyboru tych wzorców do realizacji własnego życia jest mnóstwo i dlatego przeważa rodzaj osobowości konstruowanej. Jeżeli wszyscy jesteśmy z innych miejsc niż jesteśmy, bo nieustannie zmieniamy miejsce zamieszkania, zmieniamy grupy, w których uczestniczymy, sposoby realizacji własnych celów kulturowych, to bardzo trudno jest utrzymać przeświadczenie, że tylko głębokie korzenie określają nas w zdecydowanie jeden sposób i to taki, który chcielibyśmy żeby nas określał. Kiedyś na ten temat Stanisław Jerzy Lec napisał bardzo ładną fraszkę: „Ojcowie: «Termopile!», Synowie – «Za ile?»”. To właśnie oddaje przemianę pewnego stylu bycia. Stąd z tradycją jest niezwykle trudno, gdyż jest ona wykładnikiem naszej postawy wobec przeszłości, tego co my w tej chwili chcemy, żeby weszło do tradycji i w niej było. W każdym razie raz na zawsze tradycji nie ma. To już Wyspiański słowami Żyda w *Weselu* ładnie powiedział: „No, bo Państwo to się narodowo bałamuć”³.

O dystansie kulturowym na Śląsku

W tej chwili interesuje mnie jak to, co jest dziś na Śląsku zlewa się w nową wartość. Daje się już zaobserwować nawet takie ciekawe zjawisko, jak identyfikacja ze Ślązakami części ludzi, którzy przyjechali na Śląsk i przesiąkli miejscową kulturą. A kultura życia codziennego Śląska jest bardzo intrygująca, atrakcyjna. Ja, na przykład, za nią przepadam, bo to jest kultura, która realizuje hasło „Ordnung muss sein”, ale na co dzień, nie w wojsku. Ujawnia się to w tym, że w izbie jest posprzątane, *gardiny* są wyprane, i inne takie rzeczy. To mi się podoba.

Przez pewien czas, w latach dziewięćdziesiątych, bardzo mnie interesowało wyraźne zamazywanie niemieckości Śląska. W tamtych czasach nawet na dwóch konferencjach powiedziałem, byśmy nie udawali, że na Śląsku nie było Niemiec. Było to w muzeum w Katowicach. I potem to zaowocowało. Ja wiem, że wtedy przesadzałem nawet, ale robiłem to umyślnie. Moja serdeczna przyjaciółka z Muzeum Śląskiego w Katowicach, teraz dyrektorka Muzeum w Tychach pani Maria Lipok, Ślązaczka, ale z polskich Ślązaków, mówiła nawet: „Czemu ty tak mało o nas mówisz?”. A ja jej zawsze odpowiadałem: „Bo o was aż za dużo się mówi, na razie”. No, a teraz, kiedy czasy się zmieniły, to rzeczywiście proporcje trzeba wyważać, bo to jest niezwykle intrygujące, ale rzeczywiście bardzo pomieszanane. A książek dobrych na ten temat wychodzi coraz więcej. Jest taka praca zbiorowa pod redakcją pana Nijakowskiego, „Nadciągają Ślązacy” – to bardzo dobra praca. Próbuje się w niej wyważyć sądy między niby niemieckim a polskim Śląskiem wskazując, że nie wiadomo, tak na prawdę, co z tym wszystkim zrobić.

O współczesnej antropologii rzeczy

„Powrót do rzeczy” i dostrzeganie w nich innego dna wywodzi się ze starożytności. Więc nic nowego tutaj nie zostało wymyślone. To, co robi się w tej chwili jest pograniczem kilku dyscyplin. Po pierwsze – filozofii, po drugie – antropologii, w końcu po trzecie – językoznawstwa. Za każdym razem, kiedy mówimy o rzeczach chodzi nam o to, co właściwie konstruuje rzeczy, jak one powstają i co jest ich istotą. Okazuje się bowiem, że nie jest to sama forma, ani nawet materiał i że za rzeczami jest coś jeszcze. Jeżeli stoimy na gruncie fenomenologii odpowiedź na to pytanie jest prosta – jest w nich kawałek nieuchwytności, tak jak człowiek pozostawia w butach kawałek siebie. (Pamiętam esej Wojtka Michery sprzed wielu lat, pod tytułem *Tajemnica butów czyli pochwała muzeum*). Z tego punktu widzenia tak to wychodzi. We współczesnym „powrocie do rzeczy” powiada się jednak, że w rzeczach jest coś więcej, że one jakby nami sterują i są od nas ważniejsze. Ja myślę, że tak nie jest i że rzeczy są pochodną ludzkiego ducha, inteli-

gencji, obojętnie jak to będziemy nazywać. Najpierw jest idea, najpierw jest człowiek. Z tym, że człowiek ma jedną cechę – od czasu, gdy pojawiła się ludzka inteligencja, cecha ta wzrasta coraz bardziej. Chodzi o to, że rzecz raz nazwana nie pozostaje na tym samym poziomie nazwania. Ona natychmiast przeskakuje, w użyciu i sposobie bycia na poziom metaforyczny. I przez zakładanie się metafor przestajemy wiedzieć, które były tymi pierwszymi. Gdy Husserl czy Heidegger mówią o powrocie do rzeczy to chodzi im o to, by powrócić do tych pierwszych sensów – do rzeczy raz naprawdę nazwanych. To są jednak kwestie filozoficzne i wydaje mi się, że postawione skrajnie. Sposób nieustannego przeinterpretowania rzeczy i to jaką wagę my do tego przywiązujemy jest równie ważny, a może ważniejszy niż wracanie do rzeczy pierwszych i poznawanie ich istoty. Uważam, że rzeczy po prostu takie są – ulegają mityzacji. Mówił o tym bardzo dobrze Roland Barthes, który wskazywał, że w pewnym momencie rzeczy nabierają sensów dodatkowych – że są na przykład męskie i damskie samochody. Ale przecież to wszystko jest w naszej głowie, a nie w tych przedmiotach. A z drugiej strony – jest coś niezwykłego, że z byle jakich przedmiotów – opowiada nam to cała idea *bricolage* i *bricoleura* – możemy tworzyć przedmioty, w których nie dostrzegamy ani ich nieprzystosowania stylistycznego, ani rażąco skrajnych i niewłaściwie użytych materiałów i dziesiątków innych tego typu kwestii. Takie rzeczy powstają, funkcjonują, a my tego nie widzimy.

O potrzebie swojego miejsca i małej ojczyźnie

Czuję się związany z Krakowem. W barze Vis-à-Vis – to taka knajpa kultowa, gdzie bardzo często przesiaduję przy piwie, a czasem nawet, w lecie, przy plisie z lodem – siedzą, snując opowieści, same takie zgredy jak ja i każdy opowiada o swoim miejscu. W Krakowie mieszkam od 1962 roku i okazuje się, że jest to na tyle długo, że połowa tych zgredów bierze mnie za krakusa i zaczyna opowiadać rzeczy rozmaite, pytając „czy pamiętam?”. A ja nie pamiętam, bo mnie tu po prostu nie było!

Najbardziej związany jestem z Krakowem, ale po prostu uczciwie, że tak zwanej małej ojczyzny nie mam. Adam Zagajewski napisał o tym piękny esej pod tytułem *Dwa miasta*. Jest on moim rówieśnikiem i po wojnie jego lwowska rodzina też wylądowała w Gliwicach. A ja poznałem się z nim w Krakowie na studiach. On studiował filozofię, ja studiowałem etnografię i staliśmy przez cztery i pół roku ramieniem w ramieniu „na wojsku”. Raz w tygodniu mieliśmy służbę wojskową, chodziliśmy w mundurach i stojąc w szeregu, z nudów, opowiadaliśmy sobie o lwowskiej przeszłości naszych rodziców. Adam napisał później to bardzo piękne opowiadanie, które jest opowiadaniem o Lwo-

wie i Gliwicach. Jest ono zbudowane na tej zasadzie, że on jako mały chłopczyk chodzi ze swoim dziadkiem za rękę po parku w Gliwicach, a dziadek cały czas mu opowiada, jak to pięknie było we Lwowie. Mówi, że ten park Szopena w ogóle się nie liczy, że nie ma co go porównywać z Parkiem Jezuickim albo z innymi wielkimi parkami lwowskimi, że tam były inne drzewa, inna zieleń... Ten dziadek chodził po Gliwicach, a głowę przez cały czas miał we Lwowie.

Adam, podobnie jak ja, nie ma małej ojczyzny. Jedynie co ma to lwowskie, po rodzicach, wspomnienia. Poprzez kontakt i wzrastanie w pewnym środowisku nabywamy swoistego rodzaju pamięci kulturowej o rzeczach, których sami nie przeżyliśmy. Mam taką właśnie pamięć o Lwowie. Do miasta tego później oczywiście jeździłem, jak już było można. Na domu mojego dziada, który na Janowskiej 73 miał dużą parterową willę, wisiała tabliczka z dawną nazwą ulicy, mimo, że dziś nazywa się ona oczywiście ulicą Szewczenki. Za czterdzieści hrywien kupiłem tę tablicę od obecnych mieszkańców i mam ją w domu. Tyle mam.

Kiedyś prowadziłem ze Zbyszkim Benedyktowiczem wywiad z Marią Janion, który potem ukazał się w *Kontekstach*, a później jeszcze w jej zbiorze tekstów „Czy będziesz wiedział co przeżyłeś”. I Maria Janion pytana przez Zbyszka o małą ojczyznę odpowiedziała, że jej małą ojczyzną są książki.

O młodych obiecujących antropologach

Mógłbym wymienić wielu młodych znakomitych polskich antropologów, którzy mi imponują, ale *nomen sunt odiosa*. Są w Warszawie, w Krakowie, w Poznaniu – myślę, że w każdym ośrodku, bo antropologia jest dyscypliną, która się nie starzeje. Ona się zmienia nieustannie, przybiera coraz to nowe postaci i to, że ona nie grzybieje jest najlepszym dowodem na to, że powinna istnieć. Antropologia może się oczywiście rozmywać, zwłaszcza w stronę kulturoznawstwa. Ale na razie naszą przewagą nad kulturoznawstwem jest to, że antropolodzy mają przynajmniej jedno dobre wykształcenie – jednego się przynajmniej nauczyli dobrze. A większość kulturoznawców, którzy zaczynają od kulturoznawstwa zna wszystko po trochu. Dobrym kulturoznawcą może być i na pewno jest antropolog, który zna pewne mechanizmy kultury, może nim być filolog, filozof czy religioznawca, ale muszą oni mieć najpierw swoje zakorzenienie w jakimś jednym rodzaju wiedzy, która rzutuje na ich sposób rozumowania, myślenia i nawet uogólnianie rozmaitych sądów. Natomiast najgorsze jest kulturoznawstwo, w którym ktoś trochę wie o literaturze, trochę o sztuce i trochę o czym innym. Potem mam takie przykłady: historyk sztuki rozdaje prace studentom kulturoznawstwa i mówi: „Proszę państwa Pomnik Grunwaldzki w Krakowie nie jest przykładem rzeźby romańskiej”. To jest

właśnie dowód braku zakorzenienia. Bo gdyby ten student był historykiem sztuki to takiego głupstwa by nie napisał. To co mówię jest apelem o to, żeby znaleźć sobie jakąś dyscyplinę, która zostanie pogłębiona. Nie należy uczyć się wszystkiego, nauczyć się należy jednego, a dobrze.

O przełomie w polskiej etnografii i jej twórcach

Ja mogę powiedzieć o jednej grupie, choć jak się okazuje, była nie jedna. Należeli do niej: Stomma, Benedyktowicz, Tomicki, Wasilewski i ja. O tyle była to jedna grupa, że pokoleniowo różniło nas – ja z nich jestem najstarszy – wszystkiego sześć lat. Myśmy mieli rzeczywiście to samo doświadczenie pokoleniowe, tych samych nauczycieli, ten sam sposób wykładania na etnografii. To wszystko było u nas podobne. Dlatego można było mówić rzeczywiście o pokoleniu i o bardziej lub mniej udanej tak zwanej nowej etnologii. Piszący teraz o niej dużo Michał Buchowski jest od nas o 12 czy 15 lat młodszy. Trzeba powiedzieć, że w tym czasie coś się zmieniło w świecie i odwróciło

i sposoby widzenia wielu spraw zmieniły się pod wpływem innej recepcji świata. Ale tym niech się historia – której nie ma – zajmuje.

Opracował Jacek Kowalewski

Przypisy

- ¹ Tekst niniejszy powstał na podstawie zapisu spotkania zorganizowanego w dniu 25 czerwca 2012 roku przez oddział Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Muzeum Etnograficznym im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej w Toruniu.
- ² Probiernia win importowanych „pod szóstką” to lokal mieszczący się kiedyś przy ulicy Sławkowskiej 6 w Krakowie. Sprzedawano tam głównie wina sprowadzane z Węgier, Gruzji, Krymu i Bułgarii, które składowane były w beczkach w fortach na ul. Kamiennej i w piwnicach na Sławkowskiej. W miejscu tym zawsze był ogromny tłok, głównie za sprawą studentów [przyp. J.K.].
- ³ W oryginale: „No, pan się narodowo bałamuci” (Scena XVII) [przyp. J.K.].

